

Smutna historia Julii

„Romeo i Julia” Williama Shakspeare’a. Premiera w Teatrze Ziemi Mazowieckiej, tłumaczenie Jarosława Iwaszkiewicza. Reżyseria Wandy Wróblewskiej. Scenografia Stanisława Bakowskiego.

OSTATNI werseł, wypowiedziany ze sceny, że „serce z kamienia nawet rozczulił smutna historia Julii”, można by umieścić jako motto na kurtynie, aby od razu wprowadzić widzów w nastrój przedstawienia. Rozwijają się oto słynne losy kochanków z Werony, ukształtowane na opowieść jakby gminną. Słowa, oddające temperaturę uczuć, raz po raz sięgają szczytów uniesienia, by raz po raz spadać na ziemski padół i wyrazić zgrzebnosć i prostotę bytu.

Zderza się w tym układzie poezja i proza, natchnienie i przyzwoistość, wzloty serca i przyziemna byczyżność,

miłość i nienawiść, prawda i fałsz, a w uogólnieniu zostaje podkreślone, jak się człowiek mija z własnym szczęściem nie z własnej winy. Toczy się więc akcja sztuki na zasadzie punktowania. Miejsca spłić są spotęgowane wyrażenie zaakcentowanym gestem, mimiką, obrazem, by co chwila się rozjaśniać inną tonacją nastroju. O widowiskowość tu nie dbano, za to o koloryt jakby balladowy. Wprost brak akompaniamentu gitary!

Jeszcze jedno utracę przyjęta przez teatr koncepcja: tradycję górnego „C”, przypisaną szekspirowskiej tragedii. Przedstawienie sztukę zdecydowanie uszkromnia i „odcdebrowuje”. Może to niektórych zawodzi, ale przyznać trzeba, że czyni dramata dla współczesności strawniejszym.

Dawno nie zdarzało się widzom tak zapełnionej przez publiczność warszawską (w terenie też, jak mówią, zapewnił komplet). Sztuka jest rzadko grana, a tyle się o niej słyszy. Dobrze więc, że Teatr Ziemi Mazowieckiej, teatr wędrujący, roznieśli zwłaszcza wśród ludzi młodych wieść o najczystszej miłości Romea i Julii.

Julia prezentuje się śliczna, jak różowy poranek. Autentycznie młoda, wdzięczna, płocha, naiwna, szczerze zakochana i jaka dzielna w chwili śmierci. Ogromna to zasługa nowej w tym zespole aktorki, Alicji Zalewskiej, że wyczarowała swą Julię, unikając mimo wszystko szablonu, że dała jej portret niebanalny, a jednak utrzymany w uproszczonych ramach inscenizacji. Wyróżniła się, ale nie odcinała od swego krewkiego otoczenia. Tadeusz Wleczorek, jako Romeo, też znalazł swe miejsce, jedyne, właściwe w zakomponowanym układzie i także omiął niebezpieczeństwa rozsentymentalizowania roli. Naprawdę dobrana i idealnie zgrana para. Para nieszczęśliwych kochanków! Co prawda ta nieszczęśliwa miłość odegrana została na krótkim oddechu, ale czy w balladzie można inaczej. Tym bardziej, że ballada była chwilami podwórkowa. Nie tyle na wzruszenie kładzie nacisk ta inscenizacja, co na melodyjność starej pieśni miłosnej, w której różną nutą dźwięczą i inne ludzkie namiętności.

Reszta obsady, jak przystało na konsekwentnie uporządkowaną stylizację, przyjęła kształt i pozę trochę zamarkowanych postaci. Jeśli się zjawiały na scenie, to po to, by oczywiście posunąć akcję naprzód, ale przede wszystkim aby skonstrastować to, co było naczelnym wątkiem, miłość Romea i Julii. Scenografia też pięknie utrafiła w myśl reżysera. Tak była konstruowana, że wszędzie można ją ustawić i na te rzykiłych paraważów zacząć niezwykłą improwizację i prawie dziwej miłości.